Przyjaciel Ludu.

ROK DZIESIĄTY. No. 35. Leszno, dnia 24. Lutego 1844.



O pogańskich posągach w Gnieźnie.

Nie dawno gorliwy o sławę narodową autor: *Najdawniejszych pomników narodu polskiego*, w rzędzie zabytków przedchrześciańskich umieścił dwa posągi kamienne, znajdujące się obecnie na chórze kościoła Śgo Jerzego w Gnieźnie. Przeczytawszy ich opis wraz z oświadczeniem szanownego autora: jako gotów jest zmienić swe zdanie względem rzeczonych posągów, skoro przekonywające dowody okażą bezzasadność onegoż; przesyłam Redakcyi Przyjaciela ludu uwag kilka, tyczących się owych pomników.

Nasamprzód oddając sprawiedliwość wieloletnim pana Wolańskiego usiłowaniom około zbierania i wyszukiwania tak drogich sercu rodaka i ważnych dla dziejów narodu pomników, jakiemi są monety i zabytki starożytne, z wielkiém ukontentowaniem zaraz na wstępie rzeczonego dzieła napotykam myśli, które odrzucając przesadną tego wieku krytykę i filozofią niedowiarstwa, dowodzą ducha, szanującego prawdę historyczną i pradawne życia narodowego objawy i dzieła. Głos wzniesiony w obronie podania historycznego, na zasadzie nie tylko zabytków martwych, a rdzą wieków pokrytych, ale i żyjących w dźwiękach mowy od pokolenia do pokolenia; głos taki zasługuje na wdzięczność, bo jest narodowy, jest, że tak powiem, katolicki, chociażby się zajmował dziejami przedchrześciańskiemi. Od wieków dostrzegamy w narodach dwa główne dążenia umysłu, wcale sobie przeciwne, i objawiające się najbardziéj w naukach, które człowieka myślącego najwięcéj zajmują, t. j. w religii (do któréj liczyć można filozofią i mitologią) i w historyi. Te dwie główne nauki rozwijają przed okiem naszém dwa wielkie obrazy, rozpoczynając je u saméj kolebki rodu ludzkiego; jedna daje obraz rozwijania i życia wewnętrznego w stósunku do Boga, druga objawienie się tegoż wewnętrznego życia i postępu w życiu zewnętrzném i w stósunku do społeczeństwa ludzkiego. Porównywając więc narodów dzieje i bogosłowia (religie) widzimy różnicę znaczną pomiędzy narodami wschodniemi i temi, które zwykle chodzą pod nazwą zachodnich, mianowicie Greków, Rzymian i w pewnym względzie Egipcyan. Mówię tu o dziejach początkowych, ubaśnionych, bajecznych, które będąc pokrytemi mgłą odległych wieków, tém samém pokazują postać niepewną, wątpliwą, a mogącą przyjąć formy rozmaite, zależące od płomienia światła,

jaki na nie rzuci zręczność badacza; tudzież od stanowiska, jakie sobie sam badacz obierze. Na wschodzie uderza nas dziwaczność, ogrom i przesadność obrazów, wyrażeń i opowiadań, w których raczéj myśli ogólne i wyobrażenia są wyrażone, niżeli prawdziwe dzieje; przynajmniéj zdarzenia pomieszane są allegoryą, tak, iż nader trudno przychodzi prawdę rozeznać, opowiadanie prawdziwych dziejów wydobyć z zasłony wyrażeń, nie znaczących nic, jak pomysły, urojenia, wyobrażenia filozoficzne i religijne. W bajecznych dziejach zachodu więcéj jest historycznego, mniéj zawiłego, mniéj mieszaniny z filozofią; łatwiéj przeto wyłuszcza się istota baśni, bo zwykle oparta na zdarzeniach prawdziwych, nie zaś na myślach odrębnych. Pominąwszy bogosłowia Greków, Rzymian, Egipcyan i Słowian, które ze wschodu po części wzięte, nie utraciły pierwotnéj swéj natury, t. j. czysto umysłowéj, wynikłéj z wyobrażeń religijnych i fizycznych; wspominam n. p. tylko baśni o Tezeuszu, Heraklesie, Jazonie i innych bohatérach. Któż uwierzy wszystkiemu, co o nich głoszą pisarze? Ale któż śmiałby poczytać je za czyste urojenia, lub wyobrażenia pewnych tylko myśli narodowych? Nie przebijaż się w tych baśniach prawda historyczna? Te więc dzieje bajeczne, czyli mityczne, jedni w duchu prawdziwie historycznym badając, uważają, w ogóle mówiąc, jako nierozjaśnione jeszcze zdarzenia, którym rzeczywistość i prawdę choć częściową przyznać trzeba. Ta zasada, w duchu katolickim przyjęta, ani dziejów, ani życia narodowego nie gwałci, owszem życiu i objawom nawet jednostkowych istot prawa przyznaje i zachowuje, jednocząc jednak szczegóły w całość urozmaiconą, pełną związku, życia, dzielności i wdzięku.

Przeciwny téj zasadzie duch bystrém szperaniem niedowiarstwa, szyderczém rozumowaniem zupełnego przeczenia, szarpie, rwie i podkopuje wszystko, co przechodzi granice dziejów, dokumentnie stwierdzonych, lub obręby pospolitego, jałowego o świecie pojęcia. Ten duch przeczenia, od początku wdzierający się w historyą, zawsze się sprzeciwiał prawdzie, i w miejsce jéj stworzył podobieństwo prawdy, czczą marę, wynikłą z nicości; z cienia, nie z rzeczywistości; z śmierci, nie z życia. Ten duch i w kościele wnet się okazał, i zakradając się tam, podkopywał kościoł Boży przez 15 wieków. Był to ów duch powątpiewania, który straciwszy wiarę, ten dar łaski Boskiéj, zastąpić tę stratę chciał czémś inném, t. j. tworem rozumu ludzkiego, który przeto wszystko poniżał aż do poziomu pojęć ludzkich; który nie przyjmując wyższych, t. j. objawionych prawd, podciągał pod sąd swój nie tylko wszystko ludzkie, doczesne światowo, lecz i Boskie. Nazwiéjmy go w ogóle duchem gnostycyzmu. Długo walczył z nim kościoł, póki się nie udało, pozbyć go się zupełném wyłączeniem, odkąd oddzielném korytem płynie, nie psując wnętrzów kościoła Chrystusowego. Dziś duch ów w kształcie krytycyzmu jużto podkopuje dowody dziejów, jużto podszywa urojenia własne pod ich istotę, tak, iż nareszcie przedmiot krytyki, wycieńczony i pozbawiony podstawy, z dymem ulatuje, zostawując czczą myśl odrębną, bez treści żywotnéj, zatém bez życia i wdzięku. Tenże duch wyniszcza wszelką indywidualność, naciąga rozmaitość szczegółową na jedno kopyto myśli ogólnéj i tworzy całość, ale pozbawioną istot pojedyńczych, i objawu szczegółowego i życia. Takowe dążenie umysłu prowadzić musi do wszechbóstwa (panteizmu), wierzącego tylko w jedną jedność, t. j. Boga i świata, a nieznającego Boga nadświatowego, osobistego.

Duch katolicki i panteistyczny od wieków toczą walkę. Uważasz wszechbóstwo w pojęciach i baśniach religijnych wschodu, szczególnie u Indyan; widzisz w pierwszych wiekach w kościele Bożym, także na wschodzie, ducha, zgłębiania, rozumowania i krytyki we względzie objawienia prawd nam udzielonych i podania. Mnogie ztąd odszczepieństwa i herezye powstające, obalają zasady wiary jedne po drugich, szukając zaspokojenia nie już w wierze, lecz w ludzkiéj wiedzy. We wszystkich jeden panuje duch, lubo rozmaitą obleka postać, t. j. duch przeczenia, sprawiający stratę, gdzie było posiadanie, zasiewający dręczącą niepewność, gdzie pokorne w duchu było nasycenie.

Na zachodzie przeciwnie: podanie, historya, objawienie, wiara i życie do niéj zastósowane, w całéj powadze okazują się. Zachód zna krytykę, ale i coś wyższego. Objawienie zębem krytyki nie toczone, jako od Boga pochodzące, więc święte, nietykalne, jest światłem górującém nad wiedzą ludzką a zmienną; jest zasada wyższa nad systemy filozofów; podanie zaś, świętą przeszłości puścizną, nie zabobonem i baśnią. Kiedy Rzym troskliwie odgrzebuje i gromadzi zabytki starożytności, nawet pogańskiéj, aby dzieje mgłą dawności przyćmione wyjaśnić, aby z sztuki pogańskiéj wyłuszczyć zasady ku pojmowaniu i osądzaniu błędnych mniemań, a stwierdzeniu prawdy odwiecznéj; kiedy, mówię, w głazie ciosanym, w szczątku posąga, w ułamkach pism i podań, odgaduje życie dawno zgasłych pokoleń, i widzi ślady historyi; z drugiéj strony krytyka panteistyczna z dziejów czyni baśnie, historyą zamienia w czczą marę, w urojenie marzącéj duszy. Któż nie przypomina sobie najdobitniejszego w téj mierze dowodu w osławioném dziele Dr. Straussa, pod tytułem: *Życie Jezusa?* w którém autor błędną krytyką wiedziony, śmie twierdzić, jakoby nigdy nie było na świecie Jezusa Zbawiciela! Odrzuciwszy podanie kościoła apostolskiego, i dowoli tłómacząc i krytykując Pismo św.; duch przeczenia do tego kresu ostatecznego dojść musiał!

Nie nam to przystoi zamieniać dzieje w mi-

tologią; owszem z pamiątek i podań wskrzesić dzieje zmarłych ojców i narodów, które zapewne nie żyły bez objawu ducha swego w dziełach i w życiu. Z jaką atoli trudnością jest połączona praca takowa, jakiéj wymaga umiejętności i biegłości, łatwo rozumieć każdemu. Że równie wielkiéj ostrożności wymagają podobne prace, i to jasno. Nieraz badacz przyjmując nowy pomysł na fundamencie niektórych podobieństw, późniéj go odrzuca, zniewolony dowodami przeciwnemi. Wiele pięknych na pozór myśli upaść musi przed krytyką prawdziwie historyczną. Wszelako nigdy bez użytku zabiegi takowe nie bywają, bo droga coraz się lepiéj utoruje, praca się ułatwia następcom, i często z czasem prawda wyłuszczyć się daje.

Wracając do opisu dwóch, jak mówią, pogańskich posągów, z naocznego porównania przekonałem się, iż nie mogą być ani posągami bożyszcz Nii i Dziedzilii, ani nawet wielką starożytnością. Za dowód posłużą następne uwagi:

Figury rzeczone, z piaskowca wyrobione, jednéj wielkości, t. j. 2 stopy, 10 cali, okazują, że były na przeciwko sobie ustawione, i należały do jednego pomnika. Jedna z nich przytykała prawym, druga lewym bokiem do ściany, które to boki (8 cali szerokie), równie jak i tyły, ($4\frac{1}{2}$ cala szerokie) gładko są ścięte.

Z samego dwóch boków ścięcia widać, że te figury były wprawione, czyli wmurowane w pomnik, z prawéj jedna, a druga z lewéj jego strony, słowem, że były naśladowaniem karyatydów, t. j. słupów, które górą wychodząc w postać ludzką, podpierały posowy i architrawy starożytnych gmachów. W saméj rzeczy obie figury do pasa tylko ludzką mają postać, daléj zaś w arabeskę wychodzą. Nadto widać wykute w głowach otwory (*A*) do zapuszczania w nie ciosu na karyatydzie spoczywającego. Podobnież dołem u *C* do połowy grubości wykuty jest otwór, co także dowodzi, że się posągi z téj strony spajały z innemi głazami.

Wnoszę ztąd, iż nie mogły być posągami bożyszcz Słowian, które nigdzie w postaci karyatydów nie bywały wpuszczane w ołtarze lub pomniki.

Uważając robotę i arabeski poniżéj pasa, tudzież skład twarzy; piérwszy rzut oka łatwo pokazuje, że bynajmniéj nie są dziełem odległych wieków; sam kształt arabesków nosi piętno wieku najdaléj 16tego. Już ani śladu gotyckiego stylu w nich nie widzisz, a dopiero bizantyńskiego lub dawniejszego! Tém samém upada mniemanie, jakoby figury te wyobrażały jedna Niję, druga Dziedzilią; o któréj nadto nikt z dziejopisów nie wspomina, iż ją czczono w Gnieźnie, co przynajmniéj Długosz byłby napomknął, wspominając Niję; ile że obie figury niezawodnie blizko siebie w jednym wzniesione były ołtarzu.

Ale dziwniejsza rzecz, iż autor *Pomników* w r. 1821. mógł widzieć postać dziecka w jednéj z figur, kiedy dziś wyraźnie na jego miejsce pokazuje się prawa ręka figury nie strącona, lecz całkowita z wszystkiemi palcami, z których trzy, jakoby przysięgającego, do góry są wzniesione, bez najmniejszego śladu innego jakiego przedmiotu, tąż ręką trzymanego. Tu dziecko żadne być nie mogło, bo i ręka figury nie jest nawet zgięta, lecz od łokcia zacząwszy prosto do góry wskazująca i do boku ściśle przytykająca, tak, iż nigdzie nie byłoby nawet miejsca dla dziecka, ni w zgięciu łokciowém, ni w dłoni. Może więc wapno, którego dotąd są ślady na dłoni, dawniéj, t. j. w r. 1821. rękę zakrywając, miało podobieństwo niejakie do postaci dziecka; lecz czy tak wyraźnie, że widać dokładnie i nos, i oczy, i usta, i szyję i t. d., jako jest w rycinie do pomników przyłączonéj? o tém... najskromniéj mówiąc, bardzo wątpię. Załączam poprzednio własny rysunek figury, która ma być Dziedzilią, i sądzę, że każdy słuszność uwag mych przyzna. Ja w tych figurach nic osobliwego nie upatruję, są one, zdaje się, szczątki późniejszego ołtarza czy pomnika Ś. Wojciecha, z którego, prócz owych figur, pozostały inne szczątki, n. p. figury aniołków, w tymże guście i z piaskowca podobnego zrobione i również nie dawnéj daty. Wszystkie te szczątki były wmurowane w cegły, tuż nad fundamentami kościoła katedralnego. Odnosić więc te zabytki należy do czasów chrześciańskich. Jakie mogły mieć znaczenie, nie trudno odgadnąć; były to figury allegoryczne, wystawiające cnoty główne. Ręka do przysięgi podniesiona i oczy zasłonięte, mogą dobrze wyobrażać godło wiary.

Z resztą szanowny autor przy wielkim zapasie źródeł, zbiorów i dzieł pomocnych (z których godziło się wspomnieć Hanusza dzieło o mitologii Słowian), zapewne w krótce uiści się z przyrzeczenia swego względem ogłoszenia odkryć swoich, ciekawych i zajmujących; nie zrażając się sprostowaniem, w interesie prawdy i historyi narodowéj uczynioném, chociażby przyszło cofnąć nie jeden jeszcze pomysł, nie jedno tłómaczenie, jak n. p. w zeszycie I. str. 3. napisu grobowego, w którym *a solo ad fastigium* nie znaczy: *jemu jedynie dla zaszczytu*, lecz: *od dołu do szczytu*, rozumie się: exstruxit (wystawił). Kończę znaném przysłowiem: Amicus Plato, magis amica veritas.

Dr. *N.*

Życie mojéj Matki.

Przez

X. *Hołowińskiego*.

(Dalszy ciąg.)

Tym czasem jak na dobitkę spalił się dom ciotki i wszystkim potrzeba było znowu szukać schronienia. Tekla znalazła służbę w obcym domu: Sęstwo Gorlińscy wzięli na wychowanie

najmłodsze dziécię, ledwo rok mające; ja byłem już nieco piérwéj wzięty przez cioteczną siostrę méj matki, osobę dość majętną, gdzie razem była zemną i moja siostra Krystyna niby na opiece, a w rzeczy na służbie bez płaty, jak to zwykle wodzi się u krewnych.

O! téj cioci nigdy nie zapomnę. Dziwna sprzeczność panowała w jéj charakterze: lubiła bowiem towarzystwo, zabawy i dość była wesołą, a jednak dla domowych okazywała się najsurowszą. Edukacya moja szła następującym sposobem: wprawdzie siadałem do stołu, ale nadaremnie, bo przed najlepszemi potrawami był dla mnie szaniec nie przebyty, to jest talerz pełny barszczu, którego jeśli cztéroletnie dziecko nie zjadło, to nie mogło się tknąć następnych półmisków. Ten sam barszcz z obiadu przenosił się dla mnie na podwieczorek, na wieczerzę, nazajutrz na śniadanie, słowem, póty mię ścigał zawzięcie barszcz niecierpiany, póki go z głodu nie zjadłem, a tu jak na biédę nowy następował. Prócz tego nie mogłem wywinąć się od kilku rózg co dnia, bo warunek był bardzo trudny: trzeba było nadrzéć pięknie kwatérkę piérza, które pociśnięte ręką, zawsze zostawiało próżne miejsce, a ztąd zawsze mię czyniło winnym. W czasie zabaw długich budzono mię w północ dla śpiewania piosnek ukraińskich, które przestraszony i na pół rozbudzony nuciłem ze łzami, co kompanią niezmiernie śmieszyło. Nie lepiéj obchodzono się i z moją biédną siostrą. Dowiedziawszy się matka o podobnéj opiece, przyjechała do pani siostry: lecz to przybycie matki nie wiele mój los osłodziło, bo ciocia nie odstępowała w niczém od swéj metody wychowania, a nie mając nigdy dzieci, nie pojmowała całéj katuszy biednéj matki, która musiała patrzéć na to znęcanie się nad dziećmi, a nie mogła dać żadnego ratunku. Jednak ta cierpliwość ostatniéj nędzy, nie wystarczyła przy wzrastającym humorze ciotki. Raz przyjechał brat najstarszy z Ostroga, co się darmo zajmował jéj interessami: ciotka wówczas nie wiém z jakiéj przyczyny była w gniewie na moję siostrę Krystynę i łżyła ją ostatniemi słowy: brat i matka ośmielili się jakieś słówko rzucić w obronie biédnéj dziewczyny: wtedy uniesiona passyą tak uderzyła siostrę w głowę, że grzebienia zęby skaleczyły czaszkę i krew do koła trysnęła. Cała ta scena stoi mi przed oczyma. Siostra skrwawiona, brat zbity, matka w rozpaczy potrącona, i ten lament smutku, i ten krzyk gniewu, i to zbiegowisko wszystkich służących, nie może zginąć z méj pamięci. Jednakże koniec tego dramatu, jak dla mnie, był bardzo wesoły, kazała nas bowiem czworo wypędzić z domu. Na dworze była noc ciemna, choć oko wykol, błoto ogromne, a deszcz lał niemiłosiernie; wstęp do chłopskiéj chaty surowym zakazem cioci był nam wzbroniony: ale jeden kowal tknięty litością dał nam ukradkiem schronienie w kuźni: tam brat z siostrą przepędził noc, a świtem udał się za nią do Ostroga: lecz matka ze mną umyśliła żebrać choć chwilowego przytułku u poblizkiego sąsiada ciotki: a że już było dość późno, przeto nie tracąc czasu, pożegnała tamte dzieci i wziąwszy mię na plecy, poszła biédna wśród ulewy do tego obywatela. W czasie drogi gorzko płakała, nie pojmując smutku, zwłaszcza wtedy, kiedy porzuciliśmy dom cioci, sądziłem, że się lęka o mnie, i ciąglem powtarzał: — nie bój się mamo, ja się dobrze za szyję trzymam. — Łatwo wnieść, że ludzie obcy, ale bardzo poczciwi, przyjęli nas z największém spółczuciem. Dotąd prócz matki nikt nie był dla mnie łaskawym i nie mogłem się wydziwić, że sama pani domu osypywała mię niewymowną dobrocią: jakoż nie inaczéj w dzieciństwie pojąłem naukę o niebie i piekle, tylko przez porównanie tych dwóch domów.

Synowie coraz podrastali i czas było do nauki, a tu żaden matce nie podawał się środek dopięcia tak upragnionego celu. Wszyscy litowali się nad jéj położeniem, wszyscy byli pewni, że jéj dzieci są przeznaczone na wieczną nędzę i prostotę, wszyscy kiwali głową, słysząc marzenia matki względem naszéj edukacyi; ale to bynajmniéj nie zachwiało ani jéj przedsięwzięcia, ani ufności w najmiłościwszą Opatrzność Boską. W jéj sercu macierzyńskiém głęboko leżało przekonanie, że swoim dzieciom da radę i pod starość ucieszy się owocem swoich krwawych wysiłków. W tych ciągłych zamiarach, łzach i modlitwach, Bóg dobrotliwy natchnął jéj myśl przeniesienia się do Międzyrzecza, gdzie były szkoły i gdzie pracą mogłaby dzieci wyżywić i ukształcić: jednak brak pieniędzy dla najęcia mieszkania, stanowił rozpaczającą tamę. Kiedy więc matka ubolewa nad tą przeszkodą, wtedy siostra Tekla, która na służbie potrafiła oszczędzić ze dwieście złotych, nie tylko oddała matce pieniądze, ale i siebie na usługę i pomoc dla wychowania braci. Takiém to poświęceniem się i matki i siostry, założył się początek naszego ukształcenia.

Z całą tą pomocą siostry była dziwna śmiałość przenosić się do obcego miasteczka, gdzie matka nie miała ani opieki, ani żadnéj pomocy, a tylko na jednéj i bardzo słabéj nadziei utrzymywania uczniów, budowała swój przytułek i wychowanie dzieci; ale z wiarą i ufnością w Bogu, jakiż cnotliwy zamiar może być nie podobny? Początek bardzo był ciężki. Najęto część oficyny pijarskiéj: oddawna stała pustką; okna powybijane obrazami przykryła, a mnóstwo gruzu trzeba było wynieść. Cały rok jako nieznajoma nikomu, nie mogła miéć uczniów, nie miała przeto za co nająć i sługi: w nocy, aby nikt nie widział, nosiła z siostrą wodę, prała bieliznę i najniższe spełniała posługi, a dniem szyła, robiła pończochy, aby jaki grosz na przeżycie zapracować. Ale to wszystko nie wystar-

czało, musiała przeto wyjeżdżać do różnych bogatych krewnych z prośbą o pomoc. Matka z przyrodzenia otrzymała charakter szlachetny, nie lubiący się płaszczyć i czujący godność swoję i trzeba było ostatniéj nędzy i tak ważnego interesu, jak wychowanie dzieci, aby pokonała wstręt do tego wyciągania ręki o wsparcie. Z modlitwą do Boga, z drżeniem i strachem w sercu, zbliżała się do progu swoich krewnych, nie tak lękając się odmowy, jak złego przyjęcia; o nic też wielkiego nie prosiła, bo o korzec jakiego zboża, lub trochę jarzyny, dla pokarmienia dzieci; a krewni, jak zwyczajnie bywa, jedni po trochu wspierali, drudzy dąsali się i odmawiali.

Bóg ulitował się nad tą biédną kobiétą, walczącą ustawnie z nędzą dla dobra swoich dzieci, i jego nieprzebrane miłosierdzie, wlało szacunek i spółczucie w serca otaczających, a odtąd nie brakło na uczniach. Chociaż ten sposób życia bardzo był kłopotliwy, nad zwyczaj skromny, a często nawet grożący głodem, bo biédna uczniów płata kilku rubli i kilku korcy zboża na kwartał, nie mogła wystarczyć w czasie drożyzny i tylko święta Opatrzność zaradzała cudownie w tak ciężkich razach; jednak ten czas przepędzony w Międzyrzéczu, liczyła matka do chwil najpiękniejszych swojego życia. Nie tylko bowiem ustało to wycieranie cudzych kątów, gdzie potrzeba było do samego dna wychylić kielich goryczy, wedle wyrażenia matki, lecz co najwięcéj cieszyło jéj serce, że rozproszone zebrawszy dziatki, mogła patrzéć na ich codzienne rozwijanie się władz i kształcenie umysłu. Za łaską Boga synowie, osobliwie starsi, najpiękniéj się uczyli, i co to była za pociecha dla niéj, kiedy przy końcu roku na publiczném zgromadzeniu dawano Antoniemu i Janowi nagrody i czytano ich imiona zapisane w tak nazwanéj: *Złotéj księdze*. Wszyscy zwracali oczy na jéj radość, wszyscy ją zwali matką szczęśliwą i rzeczywiście była nią wtedy tym bardziéj, że tak piękne owoce odniosła w skutek swych krwawych wysiłków przy łasce Opatrzności, która jeszcze pozwalała tworzyć lube nadzieje na przyszłość. Lecz ten błogi pokój domowy, pomieszał straszny grom dla jéj macierzyńskiego serca. Eleonora szesnastoletnia i bardzo ładna córka, już po zaręczynach z poczciwym i dość zamożnym młodzianem, skonała na ręku matki, któréj smutku nie myślę przedstawiać, ale to tylko powiem, że przy jéj pogrzebie wszyscy obecni ronili łzy politowania.

Rok za rokiem położenie matki stawało się lepszém, bo starsi synowie nie tylko już nie byli ciężarem, lecz za wyjściem na dozorców przy bogatych uczniach, mogli podzielać się z matką oszczędzonym groszem. Tak przy ubóstwie było tam wiele przyjemnego, i nie bez rozczulenia obracam wzrok na te ubiegłe lata. Do dziś dnia stoi mi żywo w pamięci, nasze pomieszkanie w Międzyrzéczu; piérwszą izbę sama zajmowała, a drugi dość wielki pokój z alkierzykiem, były napełnione łóżkami studentów. W téj piérwszéj izbie stało w jednym kącie łóżko matki, a w drugim siostry; piec i kuchnia przy progu, okna jedne wysoko umieszczone i ławeczką opatrzone, na któréj matka lubiła siadać do roboty i odmawiać modlitwy, lub śpiéwać pieśni pobożne, a szczególniéj: o Boskiéj Opatrzności, w którą miała nieograniczoną ufność i w niéj starała się utwierdzać swe dziatki. Pamiętam, że prócz nauk w tym względzie dawanych, zdziałał na mnie nie zatarte wrażenie mały obrazek, gdzie jedna ręka w obłokach sypała ziarno ptastwu, a druga rzucała chléb sierotom. O! jakże często lubiłem słuchać nauk o téj dobroci i opiece Boga, kiedy matka otworzywszy książkę do nabożeństwa, w któréj był obrazek wspomniany, tłumaczyła mi tę dziwną Opatrzność! — Dość pomyślić, aby pojąć ten rozrzewniający widok biednéj matki, otoczonéj drobnemi dziećmi, żyjącéj Opatrznością i śpiewającéj o téj saméj Opatrzności, która, wedle wyrażenia pieśni, opuszczone kruczęta karmi. — Długo, długo nie słyszałem téj pieśni, lecz kilka lat temu pokazywano mi piérwsze wydanie kantyczek i przypadkiem otworzywszy książkę, trafiłem na pieśń o Boskiéj Opatrzności, a czytając, nagle z podziwieniem przytomnych zalałem się łzami. Ach! bo z tą pieśnią związało się wspomnieniem całe pożycie ubogiéj rodziny; do jéj słów przylgnęły dla mnie na wieki i nóta i głos matki, na którego dźwięk w sercu, osobliwie po stracie téj najmilszéj osoby, nie podobna się we łzach nie rozpłynąć.

Ale jak zapomnieć te słodkie wieczory, kiedy dzieci zgromadzone przy matce wśród wesołéj rozmowy, wśród marzeń przyszłości, lub różnych opowiadań, znajdowały przyjemne po pracy wytchnienie. Pamiętam raz w czasie wakacyj, kiedy przypadały imieniny matki, niektóre z dzieci umyślnie przyjechały dla złożenia powinszowań, i wtedy obudził się we mnie zapał do rymowania. O, jakże matka była szczęśliwą nie tylko z widzenia szczeréj wdzięczności dziatek, ale i z tego, że ksiądz prefekt Żebrowski chwalił moję ramotę, którą ośmielam się przytoczyć; bo w tym dziecinnym utworze chociaż nie postrzegam nic godnego uwagi, a jednak lubię te piérwociny, tak blizko związane z ubiegłém życiem przy boku najmilszéj matki.

Bracia, siostry, chodźcie ze mną.
Nieście i serca i kwiaty:
Zanucimy pieśń przyjemną,
Dzisiaj święto naszéj matki.
Mamo! dzieci w twoim progu
Łzami wdzięczności twarz roszą;
Ale te łzy im roskoszą,
Bo z miłości, nie z nałogu
Szczere życzenia przynoszą
Tobie, coś piérwsza po Bogu.

Gdy ojciec zamyka oczy,
A śmierć go kryje pod głazem,
Dziatwa w koło cię otoczy
I ty jesteś ojcem razem.
Oj wieleś, wiele znosiła,
Wié sam tylko Bóg na niebie,
I my co kochamy ciebie.
Wiémy jak cierpiałaś siła,
Wiémy jak w każdéj potrzebie,
Łzamiś twe lice pokryła.

Nie mała to rzecz, nie mała,
I przykład na świecie rzadki,
By się matka rozbijała
Tak jak ty o swoje dziatki,
Wśród nędzy, która wciąż gniecie.
Nie wiele przeżyłem latek,
A nie mało takich matek,
Mógłem oglądać na świecie,
Którym choć służy dostatek,
Nie pamiętają na dziécię.

Ty zapomniawszy o sobie,
Żyjąc krwawą rąk swych pracą,
Myślisz: „Ja na tém zarobię,
Bo miłością mnie zapłacą."
A tak potargawszy siły,
Przy wieku swego zachodzie,
Nie raześ była o głodzie,
Byle się dzieci uczyły:
Jakże to serce nam bodzie!
Czém nagrodzić matce miléj?
Czyli tych nieszczęść wspomnienie,
Albo nasze dobre chęci,
Nagrodzą twoje cierpienie
I trudy zmażą w pamięci?
Widzim w smutku i żałobie
Swą niemożność z każdéj strony,
Choćby ztąd żal poniesiony
Pogrążył nas w zimnym grobie,
Bo twój trud nie oceniony.
Matko, jak nagrodzim tobie?

A kiedy człowiek nie może,
W téj to niemożności chwili,
Wzywa Ciebie, Wielki Boże,
Twoja go dobroć zasili.
Patrz, modlitwą serce płonie,
Proszą Cię córki, synowie,
Dajże naszéj matce zdrowie,
Niech jéj oko w łzach nie tonie,
Niech po długich lat osnowie,
Spocznie na swych dzieci łonie!

A teraz, matko kochana,
Uściskaj nas, dzieci twoje;
Radość nasza niezrównana,
Ja zaledwo łzy ukoję.
Szczęśliwyś nam dzionku rzadki!
Niech dom napełni wesele!
Sąsiedzi i przyjaciele,
Nieście i serca i kwiatki,
Bo was wszystkich kocha wiele,
Bo dziś święto naszéj matki.

W taki sposób mogliśmy otrzymać edukacyą i znowu mieszkanie matki zaczęło powoli samotnieć, gdyż synowie jeden za drugim przenosili się do uniwersytetu w Wilnie. Matka i Tekla pędziły życie coraz wygodniéjsze, bracia bowiem starsi wedle możności starali się przysyłać na załatwienie potrzeb. Cicho i spokojnie spływały ostatnie chwile jéj pobytu w Międzyrzéczu, jedna tylko tęsknota za rozsianemi po świecie dziećmi, nieco tę spokojność mieszała: ale za to każdy list, każda wiadomość o powodzeniach, a najwięcéj każde przybycie dziecka, przemieniały tę biédną chatę w prawdziwy raj szczęścia i pociechy.

Bóg niezbadany w swoich wyrokach postanowił doświadczyć jeszcze cierpliwości i dać pole do wiecznéj zasługi. W krótkim bowiem przeciągu czasu otrzymała dwa bolesne pociski. Mikołaj, syn najstarszy, umarł w Kijowie, a Gabryel najmłodszy, zginął w wojsku 1831 roku, pełen nadziei i czułości młodzieniec, którego nawet miejsce pogrzebu nam niewiadome. O! kto tyle kochał jak matka, dzieci, kto tyle starań i trudów łożył na ich wychowanie, jakże musi boleć, kiedy w samém rozwinięciu uschną te latorośle. Jeszcze nie koniec, bo prawie w tymże czasie poniosła najdotkliwszą stratę swéj córki i nie odstępnéj we wszystkich biédach towarzyszki Tekli. Cudowny charakter téj czystéj i świątobliwéj duszy ośmiela mnie do obszerniejszéj nieco wzmianki: a potém te dwie osoby tak ściśle połączone, że nie podobna mówić o jednéj, aby razem nie wspomnieć i drugiéj. Już powiedziałem, jak heroicznie siebie i zebrane pieniądze poświęciła na usługę matki i wychowanie braci. I rzeczywiście była to druga matka. Szczególniéj zajmowała się domowém gospodarstwem, bo matka w piérwszych latach nie tylko wyjeżdżała do krewnych dla otrzymania jakiego korca zboża, ale często musiała jakiś czas u nich przemieszkać, jeśli tego potrzebowali, aby się choć tém odpłacić za ich dobroczynność. Zapewne nie wielkie było gospodarstwo, ale przy tak szczupłych środkach potrzebowało największéj rządności i nie małego oszczędzenia. Poczciwa Tekla nigdy nie opuszczając domu, o wszystko się troszczyła, aby i obcym uczniom nie brakowało na wygodzie i nam małoletnim nie zbywało na potrzebach; sama utrzymywała nasze odzienie i bieliznę, tak, żeśmy o niczém nie wiedzieli: a mając tyle osób do pokarmienia, musiała przy jednéj służącéj, sama spełniać najcięższe posługi, co z jéj delikatném ułożeniem i nie przyzwyczajeniem do takich robót, nadweréżyło zdrowie. Ileż to kłopotów biédna dziewczyna musiała przenieść, bo cały dzień była na nogach, a wieczorem nawet wytchnąć czasu nie miała: wiadomo bowiem, co to jest za ciężar trzymać w domu ze dwunastu biédnych chłopców, nie zawsze dobrze wychowanych, lecz najczęściéj wielkich swawolników, którzy za wyjściem dozórcy, co prawie zawsze wieczorem następowało, zdawali się dom przewracać, taka była wrzawa i bitwa. Ztąd biédna siostra dla świętego pokoju opowiadała różne budujące powieści, lub niewinne bajki, i w tém była prawie niewyczerpaną, bo przez lat kilka słuchałem ledwie nie co wieczor, a nigdy jednak nie powtórzyła téj saméj. Wszystko, co teraz czy-

tam w różnych zbiorach, wszystko słyszałem od niéj, a wiele, wiele nie dostaje. Talent jéj opowiadania był dziwnie uroczy i najmniejszéj fraszce umiała nadać wielki interes. Lecz kiedy zastanawiam się nad jéj charakterem, nad jéj sposobem życia i postępowania, wtedy postrzegam, że w swéj szczytności przechodzi wszelki wymysł, i dla tego lękam się, aby me słowa nie policzono na karb miłości braterskiéj, ale Bóg i ludzie, co ją znali, mogą najlepiéj zaświadczyć. Piérwsza rzecz, co w téj młodéj dziewczynie zdumiewa, jest zupełne i dobrowolne zaprzanie się dla miłości matki i braci; pojmę łatwo, że w uniesieniu chwilowém można dać życie za miłe osoby, ale to wolne i codzienne poświęcenie się, jakże daleko jest trudniejszém. Młoda i ładna przed temi cierpieniami, które jéj ciężka praca nawiodła, zapomina całkiem o sobie i nigdy nie postrzegłem najmniejszego kroku, nie mówię lekkości, ale nawet pochopu do niewinnych zabaw: nigdy nie wychodziła z domu tylko do kościoła i do miasta za pokupkami i nigdy nie widziano jéj w żadném towarzystwie. Zdaje się, że cały świat nie miał dla niéj powabu; zdarzające się w piérwszéj młodości partye zawsze odrzucała, tylko Bogu i rodzinie była oddaną. Jéj charakter słodki, cichy i łagodny, znosił z niewypowiedzianém zdaniem się na wolą Bożą wszystkie kłopoty, nieszczęścia, cierpienia i słabości, bo prawie przez cały czas pobytu w Międzyrzéczu nie była zdrową, a jednak jak zdrowa pracowała. Jakaż to anielska skromność towarzyszyła jéj postępkom: prawdziwie była tak niewinną i nieśmiałą, jak dziecko. Cały żywioł téj pięknéj duszy, stanowiły dwie najczystsze miłości, to jest: ziemska swéj rodziny i niebieska Twórcy. O! jak opisać jéj szczérą i arcyrzadką pobożność? Najszczęśliwszą była, kiedy mogła kilku Mszy ŚŚ. wysłuchać, kiedy w domu miała czas poświęcić się czytaniu ksiąg pobożnych lub modlitwie; nieraz w kątku kościoła tak zatapiała się w Bogu, że nie postrzegła jak wszyscy ludzie wyszli i jak dziadek zamknął świątynię i tylko wiedząc o jéj zwyczaju, łatwo nam było odszukać jéj stratę. Wszystkie praktyki i ćwiczenia przepisane przez wiarę, jak najściśléj spełniała, a każdym uczynkiem dowodziła, że jest wierną zwolennicą Zbawiciela. A to wszystko było u niéj pokryte taką prostotą, szczérością i dziecięcą naiwnością, że każdy musiał wierzyć. Jakoż powszechnie nazywano ją *Świętą Panną*. Taka to była nieodstępna towarzyszka matki i nasza druga matka. Obie razem z płaczem i błogosławieństwem wyprawiały nas w świat po skończeniu nauk: a kiedy nas nie było, jedna drugą pocieszała nadziejami naszego powodzenia; były to dwie największe przyjaciółki, związane miłością krwi i przecierpianemi wspólnie biedami, a tak przywykłe do siebie całém życiem, że się zlały jakby w jednę nierozdzielną całość i wzajem bez siebie obejść się nie mogły. Ale wątłe siostry zdrowie, coraz bardziéj się psuło, nim nareszcie po długiéj chorobie przeniósł się ten anioł poświęcenia i dobroci, do lepszego życia, gdzie zapewne cieszy się u Boga, bo i niewinnością i pełném cierpień żywotem, znoszonym po chrześciańsku, mogła na to szczęście zasłużyć. Mój Boże, kto wystawi boleść matki oddającéj ostatnią posługę swojéj lubéj córce i towarzyszce? Kto odda ten smutek, kiedy za powrotem ze cmętarza ujrzała się staruszka, mająca przeszło lat 60, sama jedna w téj izbie, gdzie prawie całe nasze rodzeństwo wyrosło, gdzie każdy kątek nawodził tysiączne wspomnienia? W téj głuchéj, jakby grobowéj cichości, osłabiona na siłach, siada na téj ulubionéj ławeczce, przy oknie, na któréj zwykła się modlić i śpiewać pieśń Opatrzności: a nie widząc ani jednego dziecka przed sobą, z rozpaczą pogląda po izbie pustéj i rzewny płacz podnosi, i nikogo nie było, coby jéj słówko pociechy przemówił. Okropny to stan i dla tego często mówiła: *Cierpienia i smutek nikogo nie zabiją, bo dawnobym umarła.*

Te nieszczęścia zwaliły się na matkę właśnie wtedy, kiedy i ja i mój brat Jan, niceśmy pewnego nie mieli z przyczyny chwilowego szkół zamknięcia; ale położenie matki tak samotne, nie cierpiało żadnéj zwłoki i natychmiast po otrzymanéj wiadomości, sprowadziłem matkę z Międzyrzécza, gdzie lat siedemnaście spędziła. Łatwo się domyślić, jak było smutno i boleśnie opuszczać dom, w którym się tyle przeżyło i pohodowało dzieci, lecz właśnie te same wspomnienia przy ciężkich stratach, stawały się mieczem boleści, przeszywającym jéj macierzyńskie serce; unikając przeto podobnéj katuszy, łatwo dała się skłonić do wyjazdu. — Dom dla nas życzliwy, a pełen ludzkości i pobożności, z uprzedzającą dobrocią dał nam czasowy przytułek: jednak, pomimo wszelkich starań, nie było to pomieszkanie w obcym domu bez przykrości dla matki. Osoba stara, spracowana, znękana cierpieniami, potrzebowała samotności, i nie tak łatwo w późnym wieku stósować się do nowego życia; a przytém jéj wrodzona delikatność także dręczyła, bo w domu nie bardzo bogatym, a otoczonym i liczną rodziną i krewnymi, sądziła, że jest ciężarem. Wszystko to przy wzrastającéj tęsknocie za Międzyrzéczem i przy pamiątce strat bolesnych, podwajało każdą najmniejszą nieprzyjemność.

Po roku wyjaśniło się i ustaliło się nasze położenie, mogliśmy przeto już sami utrzymywać matkę. Były to chwile dość pomyślne, bo i wszystkie wygody życia miała najlepiéj zaspokojone i razem cieszyła się naszém powodzeniem i promocyą; a przy tém główny nadzór nad domem, był dla niéj żywiołem i rozrywką, próżnować bowiem nie przywykła. Tak tedy cieszyliśmy się, że choć ostatnie lata spokojnie

i wygodnie przepędzi, ale inaczéj podobało się Bogu: uformował się bowiem skir w piersi, co z czasem zmienia się w straszną chorobę raka: a chociaż tailiśmy przed nią następstwo, ale jaki to smutek przewidywać stratę najmilszéj osoby, a nie było ratunku, bo w późnym wieku trudno odważyć się na operacyę, a i téj skutek zawsze niepewny. Wkrótce potém wyjechała z Janem z Żytomierza do Ostroga, gdzie wprawdzie stan materyalny jeszcze był lepszy, ale nieszczęścia nie przestały ścigać; patrzała bowiem z boleścią nie do pojęcia, jak cios po ciosie spadał na jéj miłego syna, który stracił dwoje dzieci i najmilszą żonę. Matka kochała jak własną córkę synowę dobrą i bardzo łagodną; a szczęśliwa, że doczekała wnucząt, zajmowała się niemi z największą czułością. Po tych bolesnych stratach, świat jéj opuściał i te zmartwienia przyśpieszyły zupełne rozwinięcie się raka. Próżno wzywano najbieglejszych lekarzy, bo wynajdowane środki, tylko ją bardziéj męczyły, a nie pomagały, i przez cały rok piekło na téj ziemi wycierpiała. Kiedym ją na kilka miesięcy przed śmiercią raz ostatni widział, była niezmiernie zmienioną, bo ta słabość nadzwyczaj wyniszcza; już wtedy dobrze swój stan pojmowała, ale widok śmierci przy ufności w miłosierdzie Boga, wcale ją nie zatrważał. Wprawdzie z początku gdy się rak odkrył, powtarzała czasem smutnie, że całe życie trzeba było bić się w nędzy, a za przyjściem do lepszego bytu, musi umiérać: jednak w końcu żaden prawie żal nie towarzyszył i z największą rezygnacyą w Bogu, lubiła rozmawiać o nadchodzącéj śmierci. Odtąd jéj rozmowa nabiérała dziwnéj uroczystości, a dogmata wiary nie tylko osładzały zbliżający się zgon, lecz jeszcze ledwie go nie czyniły pożądanym. — Dość żyłam z wami, — odpowiadała, — muszę pójść do męża i do drugich dzieci moich, które na mnie tam czekają, a potém wkrótce połączymy się wszyscy. — „W ostatniéj chwili życia, — tak mi Jan donosi, — „przy wielkich cierpieniach, zawsze okazywała niewymowną czułość macierzyńską; wszystkie nieprzytomne swe dzieci po tysiąc razy błogosławiła, a mnie jednego mając przy sobie, już zimnemi rękami jeszcze tuliła, już ostygłemi usty jeszcze całowała: a potém w modlitwie zatopiła się w Bogu i powiedziawszy wyraźnie: *Panie! oddaję w ręce Twoje ducha mego*; wzięła z całą przytomnością zapaloną gromnicę, którą jéj ktoś podał, i tak skonała na mojém ręku dnia 9. Kwietnia o południu 1837 r., mając lat 66. Pochowałem ją z należytą przyzwoitością w Ostrogu, a na grobie położyłem kamień z napisem: *Najlepszéj matce wdzięczni synowie.* Tak się skończyło życie kobiéty arcyzdolnéj i czułéj, która się od kolébki aż do grobu passowała z cierpieniem i pokonała je ufnością w Bogu."

(Dokończenie nastąpi.)

Prośba Józefa Mieroszewskiego, obywatela Województwa krakowskiego, do pana K. Wielogłowskiego, Prezesa Komissyi wojewódzkiéj.

(Przez Molskiego. — Dokończenie.)

Daruj szanowny Prezesie,
Że w prywatnym interesie,
W pokrzywdzeniu osobistem,
Zatrudniam cię moim listem.
Król, Namiestnik, Senat, Rada,
Już od dawna o tém gada,
Że tam ludziom gdyby w raju,
Gdzie są mosty dobre w kraju;
Ja co kraj kocham nad życie,
Chcąc mu służyć należycie,
Wziąłem środek bardzo prosty,
Pobudować nowe mosty.
Komissya wojewódzka,
Bardzo czynna, bardzo ludzka,
Stósując się z duchem czasu,
Kazała dać drzewa z lasu.
Lecz ten djabli Nadleśniczy,
Bardzo źle krajowi życzy;
Szlę do niego prośby, himny,
A on na to wszystko zimny.
Tymczasem ktoś jadąc w drogę,
Gdy koń w moście złamie nogę,
Nie wchodząc w dalsze przyczyny,
Palnie za to Wójta gminy.
Trwożny więc o mą szkatułkę,
Drzewo co było na szkółkę,
Wziąłem, i z strachem nie małem,
Dziury w moście połatałem.
Lecz tu znowu nowa strata!
Ucierpi na tém oświata;
Bo to środek wcale nowy,
Wspierać nogi kosztem głowy.
Ksiądz, Komissarz sprawiedliwy,
Ale nadto bardzo tkliwy,
Gdy kto drzewo z szkółki ruszy,
Natrze mu porządnie uszy.
Bojąc się więc takiéj straty,
Komissarza i procesów;
Wybaw mnie z téj tarapaty,
O najłaskawszy z Prezesów.
Boże! co patrzysz na ludzkie cierpienia,
I widzisz nie raz jak gorzkie łzy leję;
Wléj w urząd leśny litości natchnienia,
We mnie cierpliwość i lepsze nadzieje!...
A jeśli się już prawa twego zrzekli,
I w występkach zapamiętali;
Bodaj ich djabli przy tym drzewie piekli,
Co mi go dotąd nie dali.
Niechaj dym z chróstu serca ich uwędzi,
A w każdorocznéj porębie,
Bodajby wisiał na miejscu żołędzi,
Urzędnik leśny na dębie.
Żal cierpliwości przechodzi granice.
Błagam cię, o rządzco świata!
Przemień sosnowe lasy w szubienice,
Dębowe w trzonki do bata.